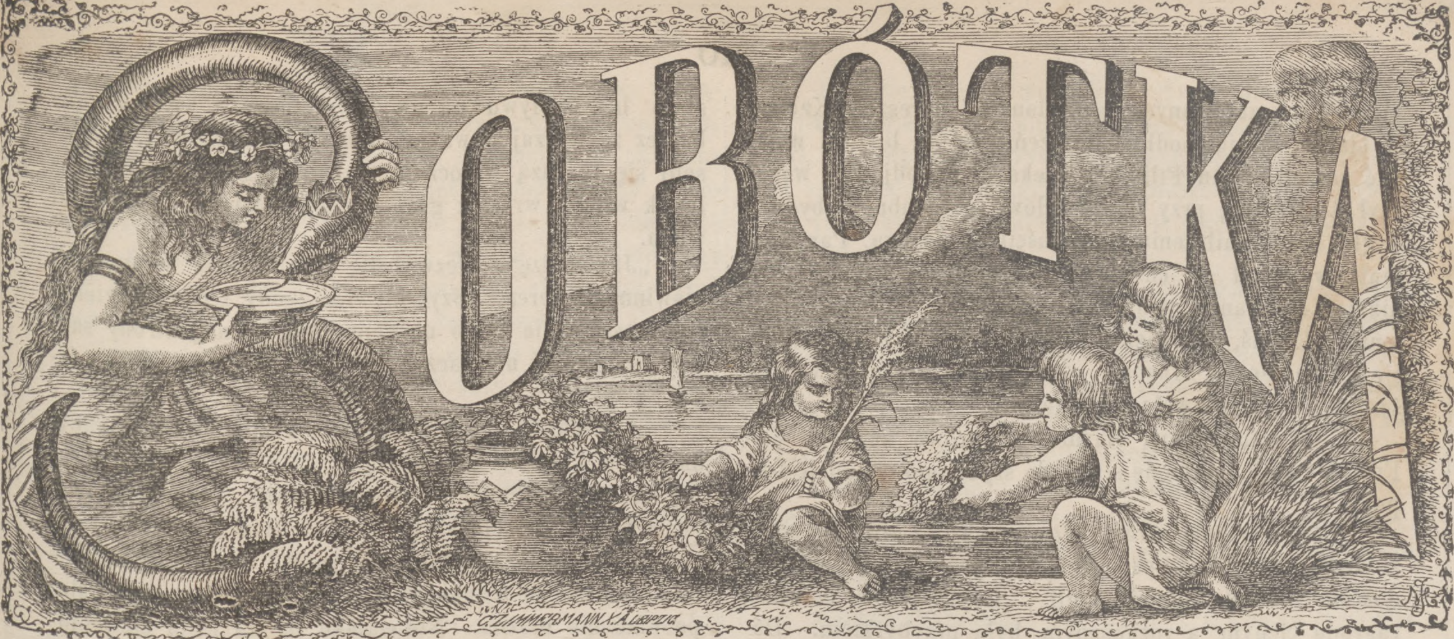


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 27. **Poznań, dnia 2 lipca 1870.** **Rok II.**

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

IV.

Wojenne kroki pana Filipa.

Około godziny pierwszéj z południa pan Filip, ostatniego ze szanownych gości najniższym pożegnawszy ukłonem, wypił kieliszek anyżówki dla nabrania sił po tak męczącéj krętaninie i, przygwizdując wesoło, powędrował po schodach do swéj właściwéj siedziby. Był to pokój jasny, obszerny, we wszelkie zaopatrzony wygody, ale w strasznym pogrążony nieporządku. Od czasu, ja ś. p. pani Kunegunda ten padoł płaczu na lepsze zamieniła siedlisko, nie troszczył się pan Filip bynajmniéj o stan swego wdowiego pomieszkania, poświęcając całą uwagę swéj osobie, sklepowi i gościnnym szczególniéj pokojom. Ztąd téż izba pana Filipa rzadko kiedy była uprzątniętą, łóżko przedstawiało zawsze stan największego choasu, ogromna szafa, pozbawiona zamka, łakomą otwierała paszczę, komoda, na któréj w zamięszaniu spoczywały świeczniki, lampy, fajki, porcelanowe drobnostki, gęstym okryła się kurzem, kulawy stół przyjął pod swe skrzydła ogromną baryłkę okowity, wypłowiała kanapa i fotel skórzany gdzieniegdzie włosiane pokazywał wnętrzności, na brudnym stołku cynowa świeciła miednica, zawsze zamydloną napełniona wodą, ponad łóżkiem, obok obrazu Panny Częstochowskiéj, potężna wisiała dyscyplina, która nie rzadko Kubusiowi dała się we znaki, wisiał kapciuch perełkami wyszyty i ulubiony cybuch z ogromną bursztynową gałką, a nieopisana mięszanina rozmaitych zapachów niezbyt przyjemną, tworzyła atmosferę. Pan Filip ogolił się starannie, szczerbatym grzebieniem nastrzępił czupryne i do weselnéj zabrał się tualety. Pan Filip, jak powiedzieliśmy, w obcowaniu z ludźmi nabrał pewnéj ogłady. Ogłada ta występowała i na zewnątrz. Ubiór jego, chociaż co do kroju nie najpierwszéj był mody, nie odznaczał się jednak ową rozmaitością barwy, która zazwyczaj małomiejskich piętnuje strojnisiów. Frak trochę za krótki, czarna kamizelka, gwałtownie pnąca się ku piersiom, czarne pantalony za bardzo schodzące ku ziemi, ogromny kołnierzyk czarną podwiązany chustką, rękawiczki niepewnego już koloru, obszerny kastorowy kapelusz, przytém pierścień z krwawnikiem na palcu i złoty łańcuch na pękatym brzuszku, wszystko to na umysłach profanów dosyć przyjemne czyniło wrażenie. Pan Filip ozdobiwszy się w ten sposób, z zadowolnieniem obejrzał się w zwierciadle, płaszcz z peleryną zarzucił na ramię i z uśmiechem pośpieszył do sklepu, gdzie go przyzwoicie wystrojony oczekiwał Kubuś. Palnąwszy raz jeszcze kieliszek anyżówki i chłopcu sklepowemu potrzebne wydawszy rozkazy, wyszedł pan Filip na drewnianą przed domem wystawkę i z przyjemnością przyglądał się swym siwkom, do wygodnego zaprzężonym wózika. Równocześnie przed dom Matusińskich trzęsąca zajechała bryczka, parą ognistych ciągniona gniadoszów, i pani Petronela, małżonka pana Walentego, o któréj wspomnieliśmy słów kilka, w ogromnym czepcu, żółtemi ozdobionym kukardami, w popielatéj sukni i pąsowym szalu, pan Walenty w czarném ubraniu, Bałabartek w krótkim orzechowym spencerku, w zielonéj, w białe kwiatki ka-

mizelce i kratkowanych pantalonach, nareszcie Kachna w białym stroju podług starszeństwa do bryczki wsiadać zaczęli. Pan Filip nie czekając ich odjazdu, wskoczył do wózika, przy nim usadowił się Kubuś i obydwaj w głębokiem milczeniu bitą puścili się drogą. Pan Walenty wyjechał po chwili i dwaj sąsiedzi, widocznie unikając spotkania, w niezbyt znaczném pospieszali oddaleniu. Kubuś, nie wiemy z jakéj przyczyny oglądał się się co chwilę, a Kachna zdążającego przodem wózika ścigać nie przestawała oczyma.

„Nie oglądaj się, błaźnie!", surowo zawołał pan Filip i batem ulubione siwki do szybszego pobudził drapaka.

„Patrz w inną stronę, dziewucho!" z groźném spojrzeniem odezwał się pan Walenty i pośpieszającym gniadoszom znacznie ukrócił cugli. Leśna panna Tomasza zagroda cichym a rozkosznym była przybytkiem. Domek maleńki i schludny, słomianą pokryty strzechą, stajenka i remiza, ozaz budka dla swawolnéj kozy, na dostatniem umieszczone podwórzu; płot ze suchych gałęzi jedliny, w czworokąt wszelkie otaczający budynki, wszystko świecące porządkiem i czystością, wszystko niewielkie w rozmiarach a harmonijne w układzie, jak owe domeczki szwajcarskie, z deseczek lipowego pozlepiane drzewa, wszystko to na tle świeżéj zieloności gwarnego lasu, ozłocone promieniem majowego słońca, owiane miłym zapachem jedliny, porywało oczy, zachwycało umysł a serce błogim napełniało spokojem. Niejeden z okolicznych mieszkańców, którego smutek przygniatał, którego chwilowe opadło zniechęcenie, pośpieszał w gościnne progi pana Tomasza, orzeźwił się widokiem uśmiechniętéj natury, pełną piersią zaczerpnął leśnego powietrza, odpoczął w zielonéj izdebce gospodarza na kanapce skórzanéj, za dębowym stołem kwiecistą nakrytym serwetką, pod rozsochatemi rogami jeleni, pod całym przyborem myśliwskim, pogawędził otwarcie i szczerze, pokrzepił się kieliszkiem wytrawnego węgrzyna, skosztował konfitur uprzejméj gospodyni, — słowem wykąpał się, że tak powiem w téj atmosferze cichéj cnoty wesołą otoczonéj przyrodą, i powrócił do siebie z dobrą myślą, lekkiem sercem, odwagą i rezygnacyą. Z tąd też w dniu, którego wypadki na naszą zasługują uwagę, w domu pana Tomasza ogólna, szczera, choć niezbyt głośna panowała wesołość. Młodzież obojéj płci, nie czując się dosyć wolną w obrębie małego domku, szukała w cieniu drzew poblizkich, na kobiercu z murawy stósownego miejsca do zabaw najrozmaitszych; panie w starszym już wieku, wraz z uprzejmą gospodynią umieściły się w dosyć obszernym pokoju, który dla białego w srebrne kwiaty obicia, dla woskowanéj posadzki, dla wielkiéj kanapy i kilku foteli, zielonèm pokrytych suknem, dla serwantki, w któréj oprócz gipsowych popsążków Kościuszki i księcia Józefa rozmaite spoczywały drobnostki, w ogóle dla szczególnie strojnéj postaci miano „salonu" piastował, i rozpoczęły tamże, smaczne spożywając konfitury, poufną o swych dzieciach pogadankę. Starsi panowie nareszcie tłumem zalegli pokój pana Tomasza, bawiąc się wesołą rozmową, ulubionym wistem, dymem cygara, buteleczką węgrzyna i smaczną przekąską. Powszechne i serdeczne zadowolnienie, jakie w kółku tém panowało, nie pozostało bez wpływu na umysł proboszcza. Ksiądz proboszcz zazwyczaj poważny, zimny, małomówny, rozweselił się tą razą widocznie, zapalił cygaro, przyjął kieliszek wina i wraz z gospodarzem zasiadł do partyjki wista.

„Jak widzę", odezwał się pan Tomasz w zupełnéj niewinności serca, „Szyszkiewicz zgody z nami zawierać nie myśli. Nie tylko na zaproszenie z méj strony sam do nas zjechać nie raczył, ale nawet chłopca nie wypuścił z domu."

„Chłopak", dorzucił niedbale ksiądz proboszcz „był dzisiaj w kościele, jak słyszę."

„Łepski chłopiec... dobry chłopiec... będzie z niego pociecha!" rozdając karty wygłosił pan Tomasz.

„Daj Boże!" potrząsając głową odpowiedział proboszcz; „ale co z takiego domu pochodzi, temu na ślepo ufać nie można. Nie daleko jabłko pada od jabłoni, nie zupełnie i synek wyrodzi się od ojca, a chociaż tam liźnie trochę ogłady, chociaż nabierze książkowéj nauki, to tylko pawie piórka, pawie piórka panie Tomaszu. Kto nam zaręczyć może, jaki się ptaszek w nie ubrał. Nie wierzę ja téj skromnéj postawie, nie wierzę!"

Pan Tomasz nad ważném właśnie rozmyślał pociągnięciem, a kiedy po chwili nieufność proboszcza dowodami usunąć zamyślał, przybycie pana Filipa do gospodarskich odwołało go powinności. Pan Filip głośnym okrzykiem bawiącą się powitawszy młodzież, z rozkosznym na ustach uśmiechem ukazał się w salonie, wszystkim damom po kolei ucałował rączki, pani Tomaszowéj czule palnął powinszowanie i, skłoniwszy się raz jeszcze przy progu, pośpieszył łaskawemu gospodarzowi swe szczere złożyć życzenia.

„Panie Tomaszu!" zawołał, całując go zamyszyście „panie Tomaszu!" Radość, rozczulenie nie pozwalają mi w téj chwili na lepsze zdobyć się wyrazy. Kocham cię, panie Tomaszu i błogosławieństwa życzę ci w twych dzieciach... „A księdzu proboszczowi!" dodał z uśmiechem, kłaniając się uniżenie. „Nie przeszkadzam, nie przeszkadzam bynajmniéj!... I zacierając ręce, rozweselony pan Filip zwykle wśród zgromadzonych rozpoczął powitania.

Pan Walenty zjawił się po chwili zły i ponury jak zawsze, milcząc powitał brata, milczac skłonił się znajomym i, zapaliwszy cygaro, stanął przy oknie i bezmyślnie spoglądał na podwórze. Pani Petronela z pompą rozsiadła się w krześle i, wachlując się batystową chusteczką, żywą zawiązała rozmowę z siedzącą obok Baltazarową, jako z najgodniejszą ze wszystkich matroną. Kachna z wystrojonym Bartosiem przyłączyła się do grona pląsającéj młodzieży i, ponieważ właśnie rozpoczęto swawolną zabawę, którą w naszych stronach „lisem" nazywają, odebrała chustkę z rąk przewodniczącéj i, potężnym opatrzywszy ją węzłem, obszerne koło powoli obchodzić zaczęła. Każdy zapewne z łaskawych czytelników genialnego „lisa" własnem poznał doświadczenie. Jest to gra, w któréj tajemne bawiących się sentymenta mimowolnie na jaw wychodzą. Biada osobie, która z obchodzącą w około w przyjaźni albo w powierzchownéj tylko żyje niezgodzie, zdradliwy lis najczęściéj na jéj plecy się zabłąka. Już to szczególnie płeć piękna w urządzeniu podobnéj zemsty zgrabną jest

nadzwyczajnie i dla tego niejeden z kawalerów, porządne oberwawszy plagi, błogą cieszyć się może nadzieją Bolący grzbiet najlepszym jest dowodem, że panienka dla niego nie całkiem jest obojętną, podczas gdy z drugiéj strony zupełne zaniedbanie jest znakiem niezawodnéj niełaski. Ta, że się tak wyrażę, psychiczna gry téj podstawa, znaną była w bawiącém się gronie; ztąd téż dziwiono się niepomału, że ilekroć razy Kachna z chusteczką obchodziła koło, zawsze biednemu Kubusiowi największe dostały się baty. Kubuś, nie spodziewając się takich względów, gubił się w domysłach, uśmiechał się znacząco, prawił docinki i żarciki, śpiewał piosenkę o Ciurusiu,ale wszystko bez żadnego skutku, Kachna uwzięła się na niego i baty sypały się co chwilę wśród ogólnych śmiechów i żartów.

Po skończonéj zabawie zmęczony Kubuś przystąpił do swéj dręczycielki, ale zanim słówko wypowiedzieć zdołał, swawolna Kachna, z uśmiechem na różowych ustach, z błyskawicą w czarnych oczętach białą podała mu rączkę i słodko zawołała: „Zgoda".

Zdziwienie Kubusia nie miało granić. Spodziewał się gniewliwéj minki, ostrego słowa, pogardliwego wzruszenia ramionami, a niespodzianie znalazł uśmiech przyjazny, ogniste wejrzenie, uczuł ciepłą rączkę w swéj szorstkiéj dłoni i po tylu latach wojny usłyszał z czarownych jéj ustek zachętę do zgody.

„Zgoda!" powtórzyła Kachna, zgadując bieg jego myśli.

Kubusiowi serce mocniéj zabiło w piersi, oczy dziwnym zaświeciły blaskiem, rumieniec okrył twarz jego, czuł, że mięknąć zaczyna pod wpływem jéj uśmiechu, jéj spojrzenia jéj drgających paluszków, ale, niechcąc dać za wygraną, złośliwą nastroił minę i ulubioną zanucił piosnkę.

Przebiegła Kachna blizkie przeczuła zwycięstwo. „Proszę o zgodę", ciągnęła niewzruszenie, „proszę o nią tylko na dzisiaj. W domu państwa młodych gniewać się nie wolno, bo to nie dobry znak dla nich. Jestem drużką i szczęście ich leży mi na sercu, dla tego raz jeszcze, — na dzisiaj zgoda miedzy nami!..."

„Zgoda, zgoda!", z rozpromienioną twarzą zwyciężony zawołał Kubuś i, porwawszy Kachnę za rączkę, rzucił się w śpiewające koło, gdzie właśnie rozpoczęli grę „w ptaszka."

Ksiądz proboszcz i pan Filip, z dymnego wyszedłszy pokoiku, stojąc na podwórzu, przyglądali się zdala wesołym zabawom młodzieży. „Powinszować, powinszować kochanemu księdzu proboszczowi! z rozczuleniem zawołał pan Filip. „A toć to panna Zofia wygląda dzisiaj jak aniołek. Śliczne dziewczę, prześliczne, a i rozweseliła się dzisiaj widocznie. Zazwyczaj taka smutna, taka zadumana, taka cicha!... A jak jéj ładnie w téj różowéj sukience, z czarną wstążeczką na bielutkiéj szyji, z konwalijką we włosach, z tym rumieńcem na śnieżnéj twarzyczce, z tym wstydliwym na ustach uśmiechem... a jak pląsa wesoło dziewczyna, a zgrabna, a figlarna, księże proboszczu!...

Wrażenie doznane w pracowni Zofii Szymanowskiéj

(dzisiajszéj pani Lenartowicz.)

„Gdym w Twéj pracowni wstąpiła podwoje,
Świat dziejów wspomnień owiał myśli moje,
Przez trzy z pod pędzla wybłysłe oblicza,
Spojrzała na mnie przeszłość tajemnicza.
Choć te postacie dziś wzięte z natury,
Z śród młodych ludów nowoczesnych grodów,
Jednak w nich miga przeszłość ich narodów,
Jak brzask zachodni gdy złoci brzeg chmury....

Jakaż twarz pierwsza? Egipskie pachole,
Rzucone losem w Gallów kraj daleki;
Geniusz je owiał skrzydłami opieki
A jednak dziecię dźwiga rozpacz w czole
I zda się jęczyć piersiami obrazu:
Gdzieżeście znikły „O Hermesa wieki?..."

Choć w prostéj szacie, choć z licem młodziana,
On przypomina Ozirysa z głazu.
Jak część ludzkości, która myślą działa
Niegdyś w Luxorze, pod szatą kapłana
Trwogą, nauką, ciągle wycieńczona
Już w wiośnie dziejów starcem się zdawała,
Tak w tem obliczu Memfesowem, pała
Pierwowzór wiedzy, któréj skarbiec złoty,
W nienasyconą, mknie, próżnię tęsknoty...."
Drżąca przed mędrców smętnością głęboką,
Sądząc, że słodszy widok znaleść mogę,
W innym obrazie utopiłam oko.
Lecz tam me drżenie wzrosło w żywsze,
Bo się spotkałem z okiem rozbójnika,
Co echem dziejów w Alpach się przemyka...
Tu już nie bożek na strojnym w mech głazie,
Lecz cień Kamilla na wrzącem żelazie.
Ten, co największą część ludzkości pali;
Co pisząc dzieje na epicznèm polu
Swego zenitu dosiągł w Kapitolu;
Co dziki w sławie, na swych zalet szali
Liść wawrzynowy z piórem sępa waży;
Pierwowzór siły, drga w téj rzymskiéj twarzy —

Wzroku, strudzony tą postacią smętną,
Gdzież spoczniesz? zwróć się na trzecie oblicze;
Starzec ten w rysach ma słodyczy piętno —
Niechce być gorżkim.. bo wie czém gorycze!"
Włos jego biały jak szaty dziewicze —
Bo on przeszedłszy walkę życia srogą,
Do niewinności wrócił cierpień drogą!

— Jakim lśni blaskiem część ludzkiego rodu,
Co sobie lutnię za godło obrała,
Co zbiera kwiaty z nauki ogrodu,
A wznieca ogień którym rycerz pała.
Taką z światłością dziwnie opromienia
Tę twarz, co zda się licem Wajdeloty
Duch kontemplacyi; pierwowzór natchnienia!....

Już więc, o Zofio! w pędzlu Twym zostaną
Trzy typy duszy i wiedzy tęsknoty
I czyny siły i natchnień podloty!
A ponad niemi, światłością różaną,
Dopiero w szkicu, bo przyszłość jest szkicem
Jak typ ludzkości udoskonalony,
Wyższy nad nauk, sił i natchnień trony,
Pierwowzór świętych lśni Madonny licem!..

Deotyma.

Słów kilka o malarstwie i malarzach w Polsce.

(Dokończenie.)

Tu także wspomnieć wypada o Oleszkiewiczu Józefie który równie jak Orłowski ur. się w r. 1777 na Żmudzi i kształcony kosztem hr. Chodkiewicza najprzód u Smuglewicza, potem za granicą, podobnie jak tamten od 1803 osiadł w Petersburgu i umarł tam w r. 1830. Był to malarz przeważnie religijny, talent drugorzędny pod względenm wykonania, ale artysta często prawdziwie po chrześcijańsku natchniony. Był on członkiem petersburskiéj akademii sztuk pięknych.

Z kolei wymienić nam przychodzi ludzi, którzy choć może jako artyści do znakomitych nie należą, wielkie jednak położyli zasługi jako profesorowie malarstwa i jako własnego pokolenia kształciciele.

Najstarszy z nich Jan Rusłem, Turek, czy Grek z pochodzenia, urodzony w Konstantynopolu, chłopięciem przywieziony przez ks. Czartoryskiego, kształcił się u Narblina razem z Orłowskiem, potém pracował przy Bacciarellim. W r. 1798 powołany do Wilna jako adjunkt przy Smuglewiczu, po jego śmierci objął katedrę malarstwa i tam umarł w r. 1835. Rustem był znakomitym portrecistą, umiejącym chwytać nie tylko fizyczne podobieństwo, ale i wyraz duchowy fizognomii. Jako profesor pracą, miłością dla uczniów, głęboką nauką i znajomością sztuki położył wielkie zasługi. Jemu zawdzięczamy bardzo piękne portrety Tyzehauza podskarbiego lit. Michała Ogińskiego, obu Śniadeckich i innych znakomitości.

Młodszy trochę, bo w r. 1784 urodzony, a wyższy daleko od poprzedniego talentem Antoni Brodowski, z początku kształcił się więcéj na amatora jak na artystę. Dopiero w r. 1805 zaczął na seryo pracować pod malarzem Augustin w Paryżu. Wkrótce jednak przybył do kraju i zwrócił uwagę znawców. W r. 1809 wysłany powtórnie kosztem rządu do Paryża, pięć lat pracował tam bez przerwy. W r. 1819 otwartą została pierwsza wystawa obrazów w Warszawie i na niéj Brodowski za obraz p. t. Gniew Saula pierwszą otrzymał nagrodę. W r. 1821 profesor malarstwa przy uniwersytecie warszawskim, w r. 1822 członek Tow. Przyj. Nauk, umarł młodo, bo lat 48 licząc w r. 1832. Znawca znakomity, pojmujący sztukę rzeczywiście, posiadający bardzo rozległe wiadomości; kochany przez uczniów Brodowski, był znakomitym profesorem. Słabość zdrowia niepozwoliła mu wiele dzieł zostawić po sobie, te jednak które wykonał, odznaczają się wielką czystością smaku, poprawnością rusunku i pięknym kolorytem. Do najlepszych liczą Parysa i Edypa prowadzonego przez Antygonę. Zostawił także wiele portretów.

Trzeci nareszcie, Aleksander Kokular, uczeń Vogla i Lampiego ur. 1793 r. malarz zdolny, a lepszy jeszcze nauczyciel, najprzód profesor przy liceum warszawskim, po zniesieniu téj instytucyi w własnéj pracowni założył szkołę rysunków i malarstwa. Był członkiem akademii św. Łukasza w Rzymie. Obrazy jego religijne znajdują się w Siedlcach, Suwałkach, w Warszawie i na wsiach. Celował w portretach.

Z innych malarzy tamtego czasu zasługuje na wzmiankę Brodowski Tadeusz, syn profesora, wielkich nadziei talent, zgasły zawcześnie, bo w 26 r. życia dzięki nadużyciom rozmaitym. Kilkanaście jego obrazów w rodzaju Verneta, bitwy, sceny wschodnie, konie, dowodzą niepospolitych zdolności.

Jan Damel, uczeń Smuglewicza i Rustema, artysta wielkich zalet, ofiara moskiewskiéj tyranii. Zaledwo uzyskawszy stopień magistra sztuk pięknych w r. 1809 za jakieś niby stosunki z Cejrikiem, sławnym fałszerzem asygnat, osądzony na Sybir i wysłany, a jakkolwiek wkrótce ułaskawiony został, to jednak wygnanie to stanowczo przyszłość jego zwichnęło. Resztę życia przepędził Damel na Litwie, gdzie umarł w r. 1840 mając lat 60 życia. Jako człowiek wielkich przymiotów duszy i serca, jako artysta Damel posiadał niepospolity talent płodny i oryginalny. a lubujący się w prostocie. Nieszczęściem jego było, że niewidział wielkich wzorów sztuki malarskiéj. W cerkwiach na Syberyi, w kościołach litewskich i w zamożniejszych dworach, są jego obrazy religijne i historyczne, oraz wielka liczba portretów. Damel był także znakomitym rysownikiem i wybornie chwytał typy oryginalne. Prócz tego zostawił w rękopiśmie bardzo ciekawy pamiętnik pobytu na Syberyi.

Głowacki Jan, Krakowianin najprzód uczeń Peszki i Brodowskiego, potém kształcił się w Pradze, Wiedniu, Monachium i Włoszech, długo był profesorem rysunków przy liceum św. Anny w Krakowie i na téj posadzie umarł w r. 1847 licząc lat 45. Malował on portrety i obrazy historyczne, ale celował w krajobrazach Co rok robiąc wycieczki w okolice Krakowa i w Tatry z portretową prawie dokładnością zdejmował piękniejsze widoki. Krajobrazy te są bardzo przez znawców cenione. Równy mu wiekiem, a talentem zbliżony Wincenty Kasprzycki rodem z Warszawy, kształcony najprzód kosztem Ossolińskiego, późniéj własnemi siłami, choć nigdy granic Polski nie przekroczył, wyszedł na znakomitego artystę. Dobry krajobrazista odznaczał się więcéj jeszcze jako malarz gmachów, budynków i wnętrza sal.

Na wskroś artystyczną naturę spotykamy w małoznanym malarzu Tytusie Byczkowskim. Odebrawszy pierwsze początki w szkole Rustema, z braku środków nie mógł wyjechać za granicę. Lat zatem wiele zbierał i oszczędzał i już siwiejący, w Monachium na nowo naukę malarstwa rozpoczął, a po sześciu latach studyów do Wenecyi wyjechał. Tu z powodów niewiadomych życie sobie odebrał. Zdaje się, że choroba oczu niepozwalająca mu oddawać się ukochanéj sztuce, do rozpaczy go sprowadziła. Utwory lat jego ostatnich nieposlednierni odznaczają się zaletami.

Jako znakomity kopista wielkich mistrzów, a nie zły portrecista zasługuje na wspomnienie Antoni Blank, rodem z Olsztyna w Warmii, od roku 1817 profesor uniwersytetu warszawskiego, zmarły tamże w r. 1844. Ozdobiał także niektóre sale w pałacu w Skierniewicach.

Prócz powyższych mniéj lub więcéj na wspomnienia zasługują: Lucyan Smuglewicz, brat Franciszka, którego wszystkie prawie znane prace znajdują się w Łańcie i w okolicznych kościołach; Paszkiewicz Józef, Litwin, nauczyciel rysunków u Pijarów w Warszawie i nie zły portrecista; Maciéj Topolski uczeń Lesensa i Smuglewicza, głównie malarz portretów; Karol Stokalski, którego portretami zarzucona jest Galicya; zdolny krajobrazista i malarz wojskowy (sam był żołnierzem) ulubiony artysta Wielkiego ks. Konstantego; Ignacy Łukaszewicz; młodo zgasły a zdolny twórca drobnych obrazków; Bachmatowicz; nareszcie dobry rysownik Choiński.

Listę tę możnaby jeszcze znacznie rozszerzyć przytoczeniem kilkudziesięciu nazwisk. Że jednak ludzie je noszący zaledwie zwykłéj dosięgli mierności, pomijamy równie jak kilkunastu cudzoziemców, chwilowo w kraju naszym w tamtéj epoce bawiących. Z nich jednak dwóch na wzmiankę zasługuje: Ludwig Fuhrmann, Niemiec, nauczyciel rysunków w Poznaniu, towarzysz i illustrator malowniczéj podróży, jaką hr. Edward Raczyński do Turcyi przedsięwziął; oraz Molinari, Włoch,



Pograniczni_przemytniki.

bardzo zdolny portrecista, który lat kilka w Warszawie bawił.

Jak widzimy, prócz Orłowskiego, epoka ta nie dała ani jednego artysty, któryby się z Czechowiczem, Smuglewiczem lub Bacciarellim mógł mierzyć. Lata następne, aż do połowy bieżącego wieku, większe jeszcze przedstawiają pustki. Malarstwo polskie żyje siłami, jakie mu koniec wieku XVIII zostawił. Początek XIX pełen wrzawy wojennéj i wysileń narodowych, siły i zdolności młodzieży w inną skierował stronę. Prawdziwe talenta nawet nie miały czasu się wykształcić.

Dopiero więc następne, po r. 1815 zrodzone pokolenie zaczęło ze swego łona wydawać nowy zastęp artystów, którzy dzisiaj tak świetną stanowią plejadę.

Gry.

(Dokończenie.)

Bilard.

Jest to po kartach, gra najbardziéj może rozpowszechniona.

Wpływa na to przyjęte ogólnie i słuszne poniekąd przekonanie, że bilard jest ze wszystkich gier najzdrowszą.

Więc w Warszawie każda prawie cukiernia, kawiarnia, albo niższego rzędu zakład gastronomiczny posiadają z obowiązku jeden bilard, czasem dwa, trzy i więcéj. Szynki nawet prowidują się chętnie w tę rozrywkę, która przy nie wielkich stosunkowo nakładach spore dochody przynieść może.

I rzecz godna uwagi, że z tych setek bilardów rozmnożonych po wszystkich ulicach, żaden prawie nie próżnuje.

W zimie czy w lecie, podczas deszczu lub pogody, o każdéj porze dnia i nocy, słychać na wszystkich punktach miasta stuk bil uderzających jedna o drugą i głuche warczenie kości słoniowéj, posuwającéj się zwolna po suknie. Młody człowiek któremu mundurek szkolny już cięży, a niedostrzegalne ślady wąsika zaczynają się puszyć pod nosem, uważa bilard i cygaro jako pierwsze oznaki swojéj dojrzałości.

W życiu naszém istnieje taka epoka w któréj, każdy mniéj więcéj z nas przez dłuższy albo krótszy termin uczęszczał do kawiarni i był bilardzistą. Przechodziło to jak choroba, nie zostawiając prawie żadnego śladu po sobie. U niektórych jednak choroba stawała się chroniczną.

Gra w bilard ma to do siebie, że właściwie za szulerkę uważaną być nie może. Bilard zajmuje bez stawki pieniężnéj, rozliczne kombinacye zwykle rozgrywanych partyi, staranność w grze jaką każdy gracz okazać musi, miłość wreszcie własna silnie rozdrażniona jak we wszystkich zabawach, ktore rozwinięcie zręczności mają na celu starczą na zainteresowanie graczów.

Pomimo tego bilard w dwóch zwłaszcza ostatnich dziesiątkach lat, stał się polem zapasów pieniężnych, które często do wysokich nawet sum dochodziły. Na odwrót jednak kart szczęście bardzo mało tu znaczy, zręczność i umiejętność wszystko prawie stanowią. A gra bilardowa tém bardziéj staje sie niebezpieczną im więcéj ułatwia sposób maskowania się, to jest udawania słabszego gracza niż się nim jest w istocie, i dodawszy przez to otuchy przeciwnikowi wyciągania od niego na pewno pieniędzy.

Przed kilkunastu, przed kilku nawet latami istnieli w Warszawie szulerzy bilardowi, którzy uczyniwszy sobie rzemiosło z téj gry, polowali na młodych i niedoświadczonych ludzi namawiając ich z sobą do partyi z ciągle zwiększającą się stawką.

A tak zwane oporządzenie fryców na różny praktykowało się sposób.

Pierwszy i zwykle używany zależał na rozegraniu pewnéj liczby partyi, pomiędzy bilardzistą a jego ofiarą Kontygens tych ostatnich składali albo młodsi ludzie świeżo w świat wychodzący albo wieśniacy z prowincyi przybyli. Z początku szuler żądał fort, to jest zaliczenia mu z góry jako niższemu w grze kilku lub kilkunastu punktów, a ludzie nawet w drobnostkach tak wielką zwykli okazywać miłość własną, że fryc zgadzał się chętnie zadowolony z opinii zawołanego gracza jaką zyskał sobie. Stawka zrazu mała powiększała się stopniowo, los gry z początku zmienny przechylał się ostatecznie na stronę szulera, fort się zmniejszało, daléj partya szła na równe, aż wreszcie szuler poczynał sam fort dawać i wziąwszy stanowczo górę nad zdemoralizowanym przeciwnikiem dochodził do udzielania mu nieprawdopodobnéj prawie zaliczki punktów wygrywając ciągle na pewno

Naturalnie sztuka taka raz albo dwa najwyżéj z jedną i tą samą osobą mogła się udać i szuler raz zrobiwszy swoje musiał z kim drugim szczęścia szukać.

Daleko dowcipniejszy a nawet pewniejszy sposób był wygrywania w paryerce.

W cukierni lub kawiarni, gdzie wiele się osób zwykło zgromadzać, dwóch znających się dobrze i zmówionych ze sobą graczów zawiązywało partyę. Obydwaj grali dobrze żeby zgromadzić widzów na około siebie, a wrzekomo stawka dość wysoką wynosiła kwotę. Pomiędzy patrzącemi zdarzał się jakiś frajer, to jest osoba nowa w tych rzeczach i nieznająca bilardowskich wybiegów. Na około formowały się zakłady to za tym to za owym, aż wreszcie frajer pociągnięty przykładem i wezwany przez kogoś z obecnych począł stawiać za graczem, któremu dotychczas szczęście służyło. Ale kapryśny los obracał się niebawem i ów gracz bieglejszy na pozór pomimo wszelkich wysileń przegrywał. Bile wyskakiwały mu z łuz, chybiały najlepiéj wymierzone sztosy. Frajer zapalał się wierząc ciągle w wyższość gry wybranego przez siebie gracza, zakłady się dwoiły i dochodzono tym sposobem do wcale sporych sumek. Czasem potrafiono dwóch albo trzech pociągnąć w ten sposób a szło to tak gładko, że przegrywającym trudno się nawet było dorozumieć zmowy jaka przeciw nim istniała.

Naturalnie do powiedzenia się paryerki potrzeba było zmowy koniecznie, a głównie współdziałania markiera.

Markier bowiem jest duszą bilardu, od niego wszystko prawie zależy, on jest najwyższym sędzią rozstrzygającym spory w chwilach wątpliwych, on uczy, daje rady i wskazówki i posiada zaufanie graczy z którymi nawet pozostaje na pewnym stopniu zażyłości i wzajemnego dowcipkowania. Dobry markier stanowi nieraz powodzenie zakładu, ale téż taki talent markierski drogo bardzo się opłaca.

I to jednakże zależy od szczęścia, czasem markierzy geniusze zostają zapoznani a talenta ich marnieją dla świata.

Jednego znaliśmy mianowicie. Był to typ jakich mało. Stanowił on ozdobę lichéj kawiarenki, która już dawno przestała istnieć. Nie wielkiego wzrostu, blady, chudy, ułomny nawet trochę, ubrany latem i zimą w szarym jakimś paltocie, centkowanym tygrysiemi plamami przez olej i inne produkta z któremi markierowie mają do czynienia wyrobionemi, słynął on w nielicznem kółku swoich wielbicieli jako najwyższe wyrażenie zdolności bilardowych.

Rzeczywiście posunął on sztukę gry na bilardzie do ostatnich granic. Nic dla niego nie było niepodobném. Grał zębami, nosem, łokciem, kolanem, stopą. Sztuki które niedawno Faure pokazywał w Warszawie i które tak zdziwiły bilardowych techników, bledną i nikną przed tém co umiał Pawełek. A miał on przy tém swój punkt honoru, nie maskował się nigdy, i jeżeli któren z gości zapragnął grać o pieniądze (stawka była zwykle bardzo nizka) dla ujrzenia jego gry w całym blasku, dawał fort jakie kto chciał.

Ta właśnie sumienność, ten honor stanęły mu na zawadzie, na drodze do chwały i zaszczytów markierskich

Bo w makierstwie jak gdzieindziéj popłaca fanfarońśtwo, narzucanie się i przecenianie własnych zdolności. Pawełek umarł w nędzy na suchoty podobno, a w niespełna pół roku po jego śmierci trzeba było zamknąć kawiarnię, zgasło bowiem słońce którego blaskiem żyła.

Dzisiaj najwytrawniejsi markierowie pełnią służbę po pierwszorzędnych cukierniach. Właściciele tych zakładów odmawiają ich sobie wzajemnie, przepłacając ich usługi. Kilka lat temu prym pomiędzy niemi trzymał Ksawerek z górki od Loursa z którym niewiadomo nam co się dzieje obecnie. Za czasów Ksawerka górka u Loursa była akademią gry bilardowéj. Przychodzono umyślnie dla przypatrzenia się partyom grywanym pomiędzy najznakomitszymi graczami warszawskimi. Czasem tak było pełno, że szpilki byś nie wcisnął. Ale też było i patrzeć na co. Partye tak zwaną polską i kręgielkową posunięto w ówczas do możliwego stopnia doskonałości. Chyba samo tylko znużenie stawało się przyczyną chybienia bili. A grano więcéj na pokaz niż dla wygranéj, były to dla bilardu prawdziwe czasy sztuki dla sztuki.

Mówiliśmy o szulerach. Obecnie w grze bilardowéj ulegli oni temu samemu losowi którego doznają wielcy ludzie w naszych czasach. Dziewiętnasty wiek jest głównie wiekiem niwelacyjnym Indywidua zmieniają się w ogóle, albo one zniżają się do jego poziomu, albo też ogół wyrasta do ich miary.

Nam się zdaje że dzieje się zarazem i jedno i drugie. Więc szulerów właściwie wziętych niema teraz, albo też większość grających stała się tém czem oni byli. Bo na pochwałę społeczeństwa naszego powiedzieć można, że jeżeli nie postąpiło wiele w ogólném wykształceniu to w grze bilardowéj przynajmniéj zmądrzało znacznie. Frajerów równie niema. Każdy gra dobrze a przynajmniéj rozumie grę. Szesnastoletni młodzieńcy cieszą się już wysokiem bilardowem wykształceniem. Odznaczający się dawniéj gracze nie dziwią i nie ustraszają nikogo. Francuz, który przyjechał tu robić interesa, dziwił z początku niepodobnemi sztosami, ale co wygrał w mało używaną u nas partyę karambulową, to powoli i oddał w piramidkę. Znalazł swój swoich. Podziwiano sztukmistrza Faure jako artystę, ale nie jeden gotów by go był wyzwać o pieniądze na własném polu. I ze słuszną dumą tu zaznaczam, że w doskonałości gry partyi będących u nas w użyciu nie ustępujemy nikomu. Co chcecie, naturalne zdolności, wprawa i praca wiele, bardzo wiele znaczą. Przyszli historiografowie Warszawy będą mogli zapisać w swoich kronikach że w drugiéj połowie dziewiętnastego wieku Warszawa odznaczała się wysoko posuniętą grą bilardową, co naturalnie nie najpośledniejszą jest z usług jakie miasto nasze w szeregu postępu wiedzy ludzkiéj oddaje.

Szachy.

Powiedział ktoś o szachach, że na grę zbyt one poważne, na naukę zbyt błache. Określenie to dobre, w każdym jednak rązie szachy stanowią wyjątek pomiędzy grami. Posiadają własne swoje organa i to bardzo liczne, towarzystwa i kluby szachowe rozgałęziły się po całéj Europie, prowadząc pomiędzy sobą bezustanną korespondencyę, przy każdéj wystawie powszechnéj odbywa się kongres szachistów, zwołują się turnieje szachowe, jak ostatni przy wystawie paryzkiéj do którego cesarz Napoleon sam z własnéj ręki nagrodę wartości sześciu tysięcy franków wyznaczył, a nazwiska szczęśliwych zwycięzców głoszone są przez wszystkie dzienniki. Piszą się życiorysy słynnych szachistów. Zmarli znajdują wspomnienie w słownikach historycznych Encyklopedyach i t. p. Komuż obce są nazwy Joachima Greco, Stammy, Filidora, Labourdonais'go wreszcie Kiesierydzkiego naszego rodaka.

Z dzieł szachom poświęconych bibliotekę całą utworzyćby można, teorya szachowa jest prawdziwą nauką bez zbadania któréj dokładnie, trudno jest a raczéj niepodobna obronić się w partyi przeciwko napaści uczonego przeciwnika. Szczególniéj w początku i przy końcu partyi zastósowania teoryi są konieczne. Samych gambitów, to jest sposobów prowadzenia partyi przeciwko którym trzeba koniecznie znać dokładną obronę, setki wyliczyć by można, a partye odegrane pomiędzy znakomitszymi graczami, notowane są starannie i ogłoszone drukiem w różnych pismach.

U nas nie ma właściwie ani zgromadzenia ani klubu szachowego, chociaż w rozmaitych czasach czyniono o to pokuszenia, które wszystkie prawie spełzły na niczem. Pomimo tego Warszawa posiadała i posiada odznaczających się graczów szachowych, a z tych niektórzy nawet zasłynęli w Europie ze zwycięstw na turniejach szachowych odnoszonych. Wspomnieliśmy już o Kiesierydzkim, który w swoim czasie uważany był we Francyi za najlepszego gracza. Petrów który największą część swojego życia przebył w Warszawie, wyzywał do walki kluby paryzki i londyński proponując im grube nawet zakłady. Maczuski zasłynął z partyi na pamięć granych; wzorem bowiem amerykańskiego Morphego, rozgrywa ich dwanaście jednocześnie i to z najlepszymi graczami powiększéj części z pomyślnym skutkiem. Rosenthal także Polak, obrany został jednym z trzech sędziów na turnieju szachowym przy wystawie powszechnéj urządzonym, a Szymon Winawer z Warszawy na tymże samym turnieju uważany był jako jeden z najlepszych graczów.

Szachiści warszawscy zgromadzają się po większéj części w cukierniach Czernera i Loursa i tam tworzą osobne kółka oddzielone od reszty towarzystwa. Pieniądze nigdy prawie nie grają tu roli, partya bowiem szachowa obywa się bez stawki, owszém można śmiało powiedzieć, że stawka pieniężna psuje zajęcie i grę wynaturza Dla uniknienia jednak poprawek i sprzeczek ztąd wynikających gra się o kawę lub cygaro co naturalnie w żadnym razie rujnującem nie jest.

Towarzystwo szachowe zbierające się zwykle zimą i latem w popołudniowych i wieczornych godzinach składa się z graczów czynnych i przypatrujących się, tak zwanéj galeryi. Ci ostatni godzinami całemi wysiadują, śledząc każdy chód rozgrywanych partyi, rozbierając grę i dysputując pomiędzy sobą. Sami, rzadko kiedy zasiadają do stolika, ograniczając się na roli krytyków i sędziów, i ofiarując się z nieproszoną zwykle pomocą. Są to więksi może jeszcze lubownicy gry szachowéj, aniżeli ci co czynny biorą w niéj udział, nie chce jednakże im się łamać głowę nad partyą ani narażać na szwank nabytą już sławę znawców. A niektórzy chodzą tam wprost tylko dla zabicia czasu, nie wiele się nawet na grze znając, zadowoleni że mogą kilka godzin przepędzić w swobodnéj bezczynności nadając sobie pozór jakiego takiego zajęcia.

Przy stolikach szachowych ujrzysz zawsze też same postacie. Są tam gracze którzy od kilku dziesiątków lat przywykli siadać przy jednym stoliku i przez ten cały czas bardzo niewiele dni opuścili. Samo już przyzwyczajenie nie małą gra tu rolę. Bo szachy są przedewszystkiem grą nałogową, stają się z czasem koniecznością, potrzebą życia. Zapalonym graczom nawet

w nocy śnią się odegrane przez nich trudniejsze partye, a gotowi przez całe godziny dyskutować o jedném posunięciu, albo nieodgadniętéj końcówce.

Na pozór rzecz to niewinna, w życiu jednak człowieka zbyt wielką stanowi próżnię. Oddanie się wyłączne szachom jest naganne, jak hołdowanie każdemu trudzącemu umysł zajęciu, które bezpośredniego użytku nie przynosi. Bo przypuszczając nawet, że się doprowadzi grę szachów do możliwéj doskonałości, jakaż z tego dla ludzkości korzyść? Na co się przydali ci wszyscy ludzie, zdolni może zkądinąd, którzy lata całe trawili nad wynalezieniem nowego rodzaju partyi i gambitów. Utrzymują, że dobra gra w szachy dowodzi pewnéj wyższości umysłowéj, łatwości tworzenia kombinacyi matematycznych, że rozwija, że uczy myśleć, ale jak z jednéj strony znaliśmy ludzi zupełnie miernych ktorzy odznaczali się wysoko wydoskonaloną grą szachową, tak z drugiéj znów wiadomo, że Napoleon I jakkolwiek lubił i cenił szachy, był sam bardzo miernym graczem, a pierwszemu wojownikowi naszych wieków żadną miarą zdolności matematycznych odmówić nie można.

Każda gra powinna pozostać tem, czém jest w właściwym swoim zakresie, to jest rozrywką jedynie. Wychodząc po zagranicę rozrywki staje się naganną, bo marnuje czas, który mógłby być korzystniéj spożytkowany albo podnieca namiętności zgubne nieraz wywołując następstwa. Szachy jednak uważane jako rozrywka, mają pierwszeństwo przed wszelkiemi innemi grami, zawsze bowiem odegranie partyi stanowi pewien rodzaj szermierstwa umysłowego, które jako gimnastyczne ćwiczenia myśli przydać się może. Dla tego dalecy jesteśmy od potępiania szachów, wolelibyśmy nawet, ażeby szulerzy karciani i inni, jeżeli już bez gry obejść się nie mogą, ku szachom się zwrócili.

Domino.

Gra to najdawniejsza może, bo nawet u Hebrajczyków znana. W nowych czasach aklimatyzowała się we Francyi i tam téż po kawiarniach główne jest jéj panowanie. U nas domino nigdy nie były w wielkiem użyciu. Zastępowało ono w pewnym względzie karty, tam zwłaszcza gdzie te ostatnie nie mogły mieć przystępu. W Warszawie są jeszcze niektóre kawiarnie gdzie gracze w domino zasiadają do kilkogodzinnych zapasów.

Zwykle na ten cel zbiera się czwórka graczów, którzy w milczeniu i z powagą pertraktują rzecz swoją.

Znawcy utrzymują, że domino łatwe na pozór, jest rzeczywiście grą bardzo trudną zwłaszcza w czterech i posiada liczne kombinacye. Nie usiłowaliśmy nigdy wnikać w głębokie tajniki téj zabawy która dla dzieci najwłaściwszą się nam wydaje. W każdym razie domino tę ma wyższość nad kartami, że stopę gry ogranicza z konieczności i przez to samo nie daje swobodnego pola szulerom do rozwinięcia zdolności.

Warcaby.

Były u nas od bardzo dawnych czasów w użyciu i po wsiach jedną z głównych rozrywek stanowiły. Partya nawet tak zwana polska otrzymała wyższość nad francuzką i wszędzie prawie przyjętą została.

Dawniéj słynęli u nas zawołani warcabowi gracze, i wysoko posunięta umiejętność gry w warcaby należała do głównych przymiotów dawniejszych rezydentów. Dzisiaj gra ta wychodzi powoli z użycia, tułając się jeszcze gdzie niegdzie po dworach i dworkach, wszędzie jednak ustępuje pola szachom, które nastręczając więcéj kombinacyi pożądańszą stanowią rozrywkę. Znaliśmy jeszcze przed kilkunastu latami zawołanego warcabistę który chwalił się z tego, że nigdy partyi nie przegrał i wyzywając wszystkich na rękę, gotów był przez kilka godzin z rzędu nie ruszać się od warcabnicy. Na godzinę jeszcze przed śmiercią, szwagier musiał z nim odegrać partyę, która nawet została niedokończona bo sił zabrakło. To dowodzi, że i warcaby liczyły dawniéj u nas zapalonych zwolenników.

Puff.

Jest tylko udoskonaleniem gry kostkowéj i wziął po niéj w spadku wszelkie jéj szulerskie wady. Los tutaj największą odgrywa rolę, chociaż zręczni gracze za pomocą różnych sztuczek umieją dopomagać losowi.

Po drugorzędnych kawiarniach i bawaryach puff był dawniéj w wielkiem wzięciu, celem jednak téj gry nie była nigdy rozrywka ale wygrana. Dzisiaj powoli puff także wychodzi z użycia, tułając się tylko tu i owdzie pomiędzy niższemi warstwami społeczeństwa. W najgorszym razie wolimy już karty bo łatwiéj w nich oszustwo kontrolować.

Kręgle.

O kręglach nie wiele jest do powiedzenia. Z zaprowadzeniem w kraju naszym szynków i ogródków bawarskich i kręgle przyswoiły się wraz z niemi zyskując jednak najwięcéj zwolenników pomiędzy mieszkańcami niemieckiego pochodzenia, czego dowodzi terminologia niemiecka, która w téj grze dotychczas, pozostała. Wziąwszy na uwagę ruch prawie ciągły jaki kręgle powodują, wydają nam się one właściwszą rozrywką od gier innych, zwłaszcza dla ludzi, których zwykle zatrudnienia przez pewną część dnia do miejsca przykuwają.

W. Szymanowski

ROZMAITOŚCI.

(Pograniczni przemytniki z ryciną.) Na pograniczu Królestwa Polskiego i Litwy wzdłuż Państwa Pruskiego i Austryi istnieją stowarzyszenia tak zwanych przemytników. Celem ich jest przemycanie najróżnorodniejszego rodzaju towarów, które skutkiem wyższéj kultury ludności zagranicznéj, albo zupełnie nie są wyrabiane, albo po znacznie droższych cenach. Stowarzyszenia te są nader charakterystyczne. Życie pełne rozmaitości i niebezpieczeństw a ze wszech miar ciekawe do poznania. Ponieważ zapoznanie czytelnika z życiem przemytników wymaga szerszego opisu a brak miejsca w tym numerze pisma naszego niezezwala na takowy, zmuszeni więc jesteśmy poprzestać obecnie na krótkiéj wzmiance obiecując w następnych numerach szczegółowo je skreślić. Rycina załączona przedstawia przemytników pojmanych wraz z towarem przez straż nadgraniczoą.

Szarada.

Pierwszą, trzecią woda daje,
Czwarta, trzecia w nocy staje
Przed oczyma. W ziemi skryta
Druga, trzecia. Gdy o kraj jaki kto pyta
Daj czwartą pierwszą. Bogata trzecia czwarta
Otacza piękność, co nieraz tego nie warta.
Wszystkiego zaś w całości,
Szukaj w okolic piękności,
Lub w jarmarcznéj budzie
Dzieciom ku ułudzie!

(Rozw. Łamigłówki w nr. 26: Trzy za po wie-dzie po win-ny poprze-dzać w S ele (wesele.)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Józefowi H. G. w Poznaniu. Zręczna, ale wiersz nie harmonijnie ułożony. Zechciéj Pan więcéj nadesłać. Panu z nad Portykujawiki. Chętnie żądaniu Pańskiemu chcielibyśmy zadosyćuczynić, gdyby ono mieć mogło cel jaki. Nadobnéj trójce. Za łaskawą pamięć i pomoc serdecznie dziękujemy. Pragnęlibyśmy, chociażby przez szkła panoramy, przymiot wyrażony w podpisie własnemi oczyma usprawiedliwić. Panu Sarneckiemu w Krakowie. Wkrótce listownie z Panem z komunikujemy się. Autorce dwóch Szarad M. i Wł. Z małemi zmianami, nieco późniéj zamieścimy. Panu R. R. w B. Trudno wszystkim wymaganiom odpowiedzieć. Panu S. P. w Gnieźnie. Wiersz drukowany nie będzie. Myśl piękna i zacna, ale forma ciężka. Szaradę na późniéj odkładamy.